

# Nie dajcie się nabrać na "Syndrom zimowników". To choroba niewłaściwych ludzi w niewłaściwym miejscu. Dyskusja o filmie

Prof. Jan Marcin Węsławski, dyrektor Instytutu Oceanologii PAN w Sopocie  
7 czerwca 2019 | 12:05



[3 ZDJĘCIA](#)

Plastikowa łódka, rosyjski silnik, kufajka i gumowy kombinezon - tak wyglądały badania w Hornsundzie przed epoką japońskich silników, hybrydowych łodzi i izotermicznych kombinezonów ratunkowych (Jerzy Dąbrowski)

Co się dzieje z ludźmi spędzającymi zimę w rejonach polarnych - Arktyce albo Antarktyce? Cierpią czy wspaniale się bawią? Ja byłem w siódmym niebie.

Chwalony film dokumentalny „Syndrom zimowników” Piotra Jaworskiego oparty jest na badaniach i dokumentacji eksperymentów prowadzonych przez psychologa Jana Terelaka w czasie pierwszych polskich zimowań w Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego w latach 1978-80.

Jako młody absolwent oceanografii i entuzjasta wypraw polarnych znałem wielu spośród ówczesnych zimowników osobiście. Wypytywałem ich, oglądałem wyjścia i powroty statków ekspedycyjnych z Gdyni. Wkrótce miałem szczęście sam spędzić dwa lata w Polskiej Stacji Polarnej w Arktyce, w fiordzie Hornsund na Spitsbergenie. Zimowałem tam w latach 1981-82 oraz 1984-85.



Czytaj także:

[Gorączka polarna. Ulanowski w Antarktyce](#)

Doświadczenia moje i grupy przyjaciół, która była ze mną, znajdują się na drugim "biegunie" nie tylko geograficznym, ale także sytuacji opisanych przez film i badania prof. Terelaka.

Jednym z najważniejszych problemów, którym zajęli się medycy w Antarktyce, były badania tzw. deprivacji sensorycznej człowieka (stres z powodu ubóstwa bodźców zewnętrznych) i wrażliwości na stres izolacji w małej grupie. Podkreślano, że to badania ważne dla organizacji rejsów kosmicznych czy długich misji okrętów podwodnych. Z pewnością to racja, ale w najmniejszym stopniu nie odpowiada wrażeniom, które pamiętam z moich zimowań polarnych.

**Zamiast „deprivacji sensorycznej” pamiętam** najbardziej kolorowy, atrakcyjny i pełen przygód jeden i drugi rok, gdzie każdy dzień był jak film przyrodniczy rozwijający się przed oczami.

**Zamiast stresu w grupie pamiętam** solidarność, bezwarunkowe zaufanie do przyjaciół, radość z przezwyciężania ryzyka i stawiania czoła fizycznemu wyczerpaniu.

Uwaga – mówię o małej grupie zaprzyjaźnionych młodych naukowców, która pojechała spędzić rok na badaniach terenowych. Obok nas byli oczywiście inni – nasi koledzy, którzy przeżywali to inaczej i inne były ich motywacje.

Jedną z głównych różnic między tymi dwoma grupami (zdeprywowanymi i zachwyconymi) to powód wyjazdu.

W latach 70. ub. wieku, u schyłku gierkowskiej *prosperity*, pierwsze wyprawy polarne były możliwością zarobienia poważnych pieniędzy w walucie - zimownik dostawał blisko 150 dol. na miesiąc, a jego pensja w kraju była warta ok. 25 dol. Dla wojskowych wyjazd na wyprawę polarną był niemal jedyną możliwością wyjazdu z kraju i zarobienia magicznych dolarów.



Czytaj także:

[Najdłuższy dzień, czyli polska wyprawa po złotą kaczkę do Arktyki](#)

Selekcja na wyprawy zimowe nie odbywała się według kompetencji czy entuzjazmu naukowego, ale poprzedzona była administracyjno-partyjną procedurą, wraz z kuriozalnymi badaniami psychologicznymi w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. Tamtejszym medykom nigdy nie udało się w porę wykryć nałogowego alkoholika, za to zawsze znajdowali sympatyka KOR.

Druga różnica to zakres obowiązków.

Każdy zimownik jechał wypełniać dość szczegółowo opisane zadania, ważne, ale z reguły bardzo mało atrakcyjne i monotonne – np. pomiary meteorologiczne co trzy godziny. Czasem, bardzo rzadko te zadania pokrywały się z zainteresowaniami i kompetencjami zimownika. Z reguły była to zwykła praca, którą trzeba było wykonać od do.

Z tej grupy pamiętam kolegę zajmującego się obsługą samopiszących urządzeń pomiarowych, który po skontrolowaniu swoich maszyn siadał z kubkiem kawy w mesie i podkreślał w specjalnym zeszyciku kolejne 4,5 dol. po zakończonym dniu pracy.

On i jemu podobni przez 365 dni praktycznie nie opuścili budynku bazy - z wyjątkiem koniecznych spacerów na wartach niedźwiedziowych.

Główne problemy i stesy tej grupy zimowników dotyczyły kuchni, ilości dostępnego alkoholu i obawy przed dodatkowym, nieplanowanym zajęciem. Ten tryb życia i wytworzonej psychiki był najbardziej podobny do rutyny marynarza podczas długiego rejsu



czy wojskowego w koszarach. Najpewniej to ta grupa doznawała opisanej przez medyków „deprywacji sensorycznej”.



[3 ZDJĘCIA](#) Polska Stacja Polarna w Hornsundzie wiosną 2014 r. Tomasz Ulanowski

### **Moja "wycieczka" składała się z zupełnie innych ludzi.**

- 1.** Nikt nam nie płacił. Na pierwsze zimowanie pojechaliśmy jako grupa wolontariuszy. Żona przysyłała mi norweskie znaczki, żebym mógł wysyłać do niej listy.
- 2.** Staraliśmy się o ten wyjazd – wymarzoną ekspedycję polarną. Przedtem trenowaliśmy zimowe wycieczki w górach, biwakowanie w śniegu, pływanie małą łodzią po wzburzonym morzu.
- 3.** Wiedzieliśmy, dokąd jedziemy, wyczytaliśmy wszystko, co można było znaleźć na temat Spitsbergenu i wypraw polarnych w tej przedinternetowej erze.
- 4.** Chcieliśmy coś odkryć, zbadać, opisać, a emocje towarzyszące badaniom przyrodniczym są czymś zupełnie wyjątkowym.
- 5.** Wreszcie, co chyba najważniejsze, nasza misja zakładała pracę w terenie – jak najmniej siedzenia w bazie, jak najwięcej rejsów łódkami i marszów po zamrożonym morzu na nartach. Najgorszą zgorą było uziemienie w bazie na dwa dni przez następujące po sobie dyżury – kuchenny i sprzątający.

Natomiast nigdy nie uziemiła nas pogoda. Pamiętam scenę, gdy w czasie potężnej wichury skleciliśmy pojazd na kółkach z żaglem i pędząc po tundrze, zobaczyłem w oknach bazy zdumione twarze kolegów z grupy podległej „deprywacji sensorycznej”.

Nie piszę tego w sposób wartościujący. Ci zamknięci w bazie ludzie przeżywający swoje stresy byli rozumni, dobrzy i inteligentni. **Tyle, że znaleźli się w nie swojej bajce.**

Wielu z nich zapewne ciężko przeżywało izolację, inni uciekali od kłopotów życia w kraju do uporządkowanej rzeczywistości polarnej bazy. Dla nich świat za oknem był nieprzyjazny i niebezpieczny.

Dla mnie i mojej wycieczki celem był Spitsbergen i wszystko, co z sobą niósł – niezbadany ocean, piękno krajobrazu i wyjątkowe poczucie **Wielkiej Dzikiej Przyrody**, a nie pieniądze, bezpieczeństwo i wygoda stacji polarnej. Mogę tak napisać bez obawy, że uważam się za reprezentanta jakiejś wyjątkowej grupy.



Czytaj także:

[Zarażeni gorączką polarną](#)

**Dwa rodzaje ludzi były na wyprawach polarnych zawsze.** Wiem to z najlepszego źródła – od prof. Stanisława Siedleckiego. Ten geolog, znany przedwojenny taternik i polarnik wymyślił i założył Polską Stację Polarą w Hornsundzie w 1957 r. Mieliśmy szczęście poznać go w czasie stanu wojennego, gdy był na emigracji w Norwegii. Spędziliśmy z nim wiele miesięcy w stacji, a blisko 80-letni wówczas profesor obdarzył naszą grupę przyjaźnią. Zobaczył w nas to, co cenił najbardziej w swojej długiej polarnej karierze.

Profesor był dla nas autorytetem i wzorem. Spędził pierwszą zimę polarną na Wyspie Niedźwiedziej (1931-32), gdzie szef trzyosobowej ekspedycji polskiej, słynny później pisarz Czesław Centkiewicz był typem osoby, która cierpiała w czasie [nocy](#) polarnej.

Centkiewicz, który nigdy potem nie wziął udziału w wyprawie polarnej (jeździł na turystyczne wycieczki), pisał o „grozie nocy polarnej”, o wyrazie oczu osób, które przetrwały polarną zimę. Prof. Siedlecki śmiał się z tego przez następne kilkadziesiąt lat.

Siedlecki też miał swoją grupę przyjaciół, która podobnie jak on odbierała polarne zimowania, nie cierpiał pozy, nadymania się i udawania bohatera. A „deprywacja sensoryczna” była obiektem naszych żartów. Nie chciałby, żeby widzowie filmu zapamiętali tylko ten jeden rodzaj polarników - którzy mieli pecha znaleźć się w nie swoim miejscu.